

DENNY N. DWIGHT

STWORZENIA EKONOMICZNE

KSIEGA PIERWSZA - OPOWIEŚĆ O
NIEUMARŁYCH

1. Wydanie 2025

© / Prawa autorskie: 2025 Denny N. Dwight

Wydawca: Freeze Verlag

Tytuł oryginalny: ECONOMIC CREATURES – BUCH EINS - EINE GESCHICHTE ÜBER
DIE UNTOTEN

Zdjęcie na okładkę: Denny N. Dwight

Projekt okładki, ilustracja: Denny N. Dwight

Redakcja (błędy logiczne): Sebastian Kroker, Tim Donart

Redakcja (ortografia i gramatyka): Valeska Harrer

Dennis Nowakowski

Dinnendahlstr. 43

46145 Oberhausen

E-Mail: d.nowakowski@hotmail.de

Niniejsze dzieło, w tym wszystkie jego treści, jest chronione prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie lub reprodukcja (również fragmentaryczna) w jakiegokolwiek formie (druk, fotokopia lub inne metody) oraz przechowywanie, przetwarzanie, powielanie i rozpowszechnianie za pomocą jakichkolwiek systemów elektronicznych, w całości lub w części, jest zabronione bez wyraźnej pisemnej zgody wydawcy. Wszystkie prawa do tłumaczeń zastrzeżone.

Stwór

Pot spływał mi z każdej pory, gdy przedzierałem się przez las. Ciemność utrudniała poruszanie się, a drobne gałęzie co chwila smagały mnie po twarzy, boleśnie rozcinając skórę. Powoli zaczynały dawać o sobie znać rany, które odniosłem w pierwszej walce ze stworem. Twarz bolała mnie od szybkiego ciosu, który zadał mi świadomie lub nie. Przynajmniej nie krwawiłem już z nosa, bo krew zdążyła zaschnąć i zamarznąć. Przekłety śnieg nieustannie sypał z nieba, częściowo ograniczając widoczność, choć sylwetki licznych nieumarłych, obok których przemykałem, wciąż widziałem wyraźnie. Kilka razy potknąłem się o gałęzie, kamienie czy martwe pniaki, bo ten cholerny mgła snuła się nad ziemią jak biały dywan, zasłaniając mi widok w dół. Na szczęście za każdym razem udawało mi się złapać równowagę i kontynuować bieg bez szwanku. Ale z każdym krokiem los mógł odwrócić się na korzyść mojego przeciwnika. Gdybym teraz złamał nogę albo w jakikolwiek inny sposób się zranił, byłoby po mnie. To naprawdę zadziwiające, jakie figle płatała mi pogoda w ostatnich miesiącach. Przed czym uciekałem, sam dokładnie nie wiedziałem, choć już raz stanąłem twarzą w twarz z tym stworem i słyszałem co nieco na jego temat. Zbliżał się, krok po kroku, coraz bardziej. Bycie ściganym przez bezwzględną bestię przez gęste zarośla to doświadczenie, którego nikomu nie życzę. Dotąd to ja byłem tym, który polował, a nie ofiarą, więc ta sytuacja wkurzała mnie podwójnie. Czy tak czuli się ludzie, zanim odbierałem im życie? Smak własnej medycyny wcale mi nie odpowiadał, a porównanie i tak kulało. Nigdy nie zabijałem z kaprysu czy zemsty. Byłem po prostu ofiarą, powiedzmy, okoliczności, wykonywałem rozkazy albo musiałem się bronić. Nie, sytuacja, w której się znalazłem, była dziełem bezwzględnych sił, które nie miały żadnego szacunku dla ludzkości. Stworzyli coś, czego okrucieństwo trudno przebić, coś, co pograżyło świat w

nędzy. Stwór, który nas zarażał, przemieniał i czynił czymś, co kpi z każdego koszmaru. Czynił nas istotami bez sumienia, bez strachu czy empatii, za to z niepohamowanym apetytem na mięso. To początkowo powolny proces, którego na początku nie traktuje się poważnie, by w końcu dostać za to rachunek. „To przytrafia się tylko innym” – takie myślenie od zawsze krążyło w głowach ludzi. Nie tylko w odniesieniu do obecnych okoliczności, ale do wszystkiego, co mogło zakłócić nasze idealne życie. Wojny nikogo nie obchodziły, jeśli toczyły się wystarczająco daleko. Własne życie układaliśmy tak, jak nam było wygodnie i jak chcieliśmy. Wmawiano nam to przez ludzi, którym nigdy niczego nie brakowało, którzy nigdy nie zaznali głodu ani straty. To oni mówili nam, co jest w życiu ważne, choć sami nigdy nie musieli ciężko pracować na swój luksus. To oni, z fałszywym uśmiechem na ekranach, mówili nam, co jest dobre, a co złe. To oni wbijali nam do głów moralne wartości dotyczące ludzi i ich praw, a sami deptali po trupach. To oni zapewniali, że wszystko jest w porządku, podczas gdy uciskali własne społeczeństwa, prowadzili wojny albo sprowadzali wojnę, biedę i głód do naszych domów. Ale wisienką na torcie naszej systematycznej zagłady był „Ten Jedyny”. To stworzenie, które teraz goniło mnie przez ten niekończący się las. Szczerze mówiąc, sam to sobie wybrałem. Głupie, gdy tak o tym myślę. Kto dobrowolnie wskakuje do basenu z rekinami, wcześniej nacinając sobie skórę? Dlaczego to sobie robię, pytałem sam siebie. Po tym, jak świat poszedł na dno, poza walką o przetrwanie i szukaniem jedzenia, nie było już żadnych prawdziwych celów do realizacji. Dla wielu samo przetrwanie było wystarczająco trudne, bo nie było już centrów handlowych ani sieci fast foodów. Ludzie dopiero teraz zdali sobie sprawę, jak bardzo byli zależni od korporacji, które czyniły ich chorymi i niesamodzielnymi. Konsumowali media, które coraz bardziej ich ogłupiały, spotykali się w mediach społecznościowych, które sugerowały im przyjaźnie. Pierwotny instynkt

myśliwego, jednostki, odebrano nam już dawno temu. Zostaliśmy wychowani na nieudolnych masowych konsumentów, którzy nie mieli myśleć, a w końcu zostać poprowadzeni na rzeź. Mnie nikt nie zarżnie. Możecie próbować, ale dobrowolnie nie położę się na gilotynie. Zwłaszcza nie dla tego przekłętego stwora, który był tak blisko, że wydawało mi się, iż czuję jego oddech na karku. To stworzenie sprawiło, że odwróciłem się od spokojnego, a może nawet długiego życia, przestałem dbać o swoje bezpieczeństwo i porzuciłem nowy dom. Ile dusz masz na sumieniu? Może nie jesteś taki jak ci, których ugryzłeś i skazałeś na potępienie, ale nie jesteś też tak mądry jak człowiek. Jeszcze cię dopadnę i wtedy cię załatwię. Nie będziesz już wstrzykiwał swojego jadu w żyły bezbronnych ludzi, przemieniając ich w rozszarpujące bestie. Koniec lasu był tuż przede mną. Tylko nie potknij się teraz. Nie teraz. Stopniowo zwalniałem, aż w końcu się zatrzymałem. Oparłem ręce na udach, łapiąc oddech, i przez kilka sekund uważnie się rozglądałem. Upiorny scenariusz, jak z tych starych horrorów, które pokazywał mi ojciec. Uwielbiałem te filmy i to nienaturalne uczucie strachu, które mnie wtedy ogarniało. Rzeczywistość, tu i teraz, nie budziła we mnie strachu. Małego chłopca, który kiedyś nie mógł zasnąć w ciemności, już dawno nie było. Jeszcze tylko kilka metrów do skraju lasu. Za nim rozciągała się polana wielkości boiska piłkarskiego, która, co dziwne, nie była tak zasypana śniegiem jak reszta okolicy. Dźwięk wyrwał mnie z zamyślenia, zmusił do odwrócenia się. Tylko ciemność, gałęzie, pnie drzew i ta upiorna cisza. Nagle coś przemknęło przez mgłę, rzucając długi cień na lśniąca biel leśnego podłoża. Zawróciłem i pobiegłem przez polanę, która kończyła się nagle stromym urwiskiem. Spojrzałem w dół, nie widząc dna, i przez chwilę naprawdę rozważałem skok. Ale instynkt przetrwania zwyciężył. Nawet wierzchołki wysokich drzew były ledwo widoczne, bo gęsta mgła otulała je jak ogromny płaszcz. Rambo przynajmniej widział, co go czeka, gdy odrywał się od skalnej ściany i skakał w głąb drzewa.

Całkowicie przemoczony oparłem ręce na udach. Chciwie łapałem powietrze, a para buchała z moich ust przy każdym wydechu. Płuca paliły mnie jak ogień. „Oby śnieg nie zatarł moich śladów” – przemknęło mi przez głowę. Nie, nie oszukiwałem się. Znalazłby mnie szybciej, niżbym chciał. Musiał mnie znaleźć. To była osobista sprawa, którą trzeba było raz na zawsze rozstrzygnąć. Z lasu, który majaczył przede mną niczym ogromny, groźny cień, dobiegły odgłosy, które postawiły mnie na nogi. Przestałem oddychać, rozglądając się na prawo i lewo. Przez kilka sekund panowała lodowata cisza. A potem go zobaczyłem. Powoli wyłaniał się z mrocznego lasu i zatrzymał się bez ruchu. Noc, padający śnieg i zamglony las za nim sprawiały, że wydawał się nierzeczywisty. Wysoki, chudy, z długimi włosami i pazurami, które mogłyby rozedrzeć na strzępy. Stał tam bez ruchu, tak jak kilka minut wcześniej, gdy po raz pierwszy się z nim starłem. Choć nie widziałem jego oczu, czułem zimne spojrzenie, które przeszło mnie dreszczem. Z rękami zwisającymi luźno z przodu, w lekko zgarbionej postawie, obserwował mnie przez pół wieczności. Ściągnąłem grubą kurtkę i golf, które przeszkadzałyby mi w tym, co zamierzałem, i natychmiast poczułem lodowaty chłód, który chwycił ciepło mojego ciała. Przynajmniej byłem teraz przytomny, odświeżony i gotowy na wszystko. Nie było już ucieczki – ani dla mnie, ani dla niego. Stopniowo za jego plecami zaczęły pojawiać się kolejne sylwetki, wyłaniające się z mgły i chwiejnie zmierzające w moją stronę. Początkowo pojedynczo, ale wkrótce ich liczba wzrosła do ponad trzydziestu, o ile mogłem to ocenić. Jego armia bezmyślnych nieumarłych, których nawet nie musiał dowodzić. Choć przez długi czas przypisywałem mu tę zdolność, by jeszcze bardziej pogrążyć świat w chaosie. Serce waliło mi jak oszalałe, a ślinianki odmówiły posłuszeństwa. Poczulem mdłości, a ręce zaczęły mi drżeć. Czułem się jak Arnold w „Predatorze”, gdy w końcu stanął twarzą w twarz z potworem, najpierw porządnie oberwał, zanim szczęśliwy zbieg okoliczności

dał mu wskazówkę i uratował mu tyłek. Na taki zbieg okoliczności mogłem teraz tylko liczyć. Nie miałem już broni palnej, a mój nóż leżał gdzieś daleko w śniegu. Pomimo małej niespodzianki, którą ukryłem w kieszeni na nodze, przez kilka uderzeń serca wątpilem w swoje zamiary. Czy tym razem nie przeceniłem siebie? To był najgorszy moment, by rozważać za i przeciw, w które wpakowałem się swoją wielką głęą. On wydawał się teraz jakoś większy i bardziej przerażający niż kilka minut temu.

Nagle, z szybkością, której bym mu nie przypisał, ciemna postać rzuciła się na mnie. Najpierw na dwóch nogach, krótkimi, szybkimi krokami. Potem coraz bardziej na czworakach, jak wściekłe zwierzę, które za nic nie pozwoli umknąć pewnej zdobyczy. Jeszcze jakieś trzydzieści metrów nas dzieliło. Z każdym skokiem i każdym metrem stwór przyspieszał, przypominając pędzącego wilka w amoku. Tylko bardziej celowego, agresywnego i nieprzewidywalnego. Za każdym razem, gdy dotykał zaśnieżonego podłoża, mgła, przypominająca kłęby pary z wanny pełnej gorącej wody, rozstępowała się na boki, jakby sama natura bała się tej kreatury i dobrowolnie ustępowała jej miejsca. Jeszcze piętnaście metrów. To dziwne, ale z każdym metrem, który go zbliżał, stawałem się spokojniejszy. Ręce przestały mi drżeć, puls niemal wrócił do normy. Ostatnie, rozmarzone spojrzenie na zachmurzony księżyc, który teraz wisiał nad sceną jak gigantyczna żarówka, barwiąc tę zimną noc na ciemny szaro-niebieski odcień. Sięgnąłem do kieszeni na nodze i wyjąłem jedyną broń, która mogła teraz uratować mi życie. Nie czułem strachu. Mój organizm był napompowany adrenaliną, mięśnie napięte do granic możliwości, a mój fokus skierowany wyłącznie na niego. Nigdy nie przegrałem walki i tym raz nie zamierzałem zawieść. Z tymi myślami ruszyłem sprintem prosto na mojego przeciwnika.

„Chodź, draniu!” – wyrwało mi się.